

**Tomasz Kołodziejczak**

## **Wróć do ciebie kacie**

Kobieta, którą kochał, powoli wstępowała na szafot. Szła dumnie wyprostowana, lekko uśmiechnięta, jej głowę okalały zielone, kiedyś długie, teraz przycięte na linii karku włosy. Widział jej jasną sylwetkę na tle czarnych murów otaczających Plac Sędziów i modlił się o cud. Cud nie mógł nastąpić. Pomocnicy podprowadzili kobietę do pieńka. Kątem oka dostrzegł przesuwające się kamery; wokół siebie słyszał szum podnieconego egzekucją tłumu. Wprawnym, ćwiczoną tysiące razy ruchem sięgnął po przewieszony przez plecy miecz. Za chwilę miał ściąć głowę kobiecie, którą kochał.

### **1.**

Był wolnym człowiekiem pośród wolnych ludzi. Lubił to: żyć między nimi i dla nich, czuć ich szacunek – odrobinę strachu, ciekawości, fascynacji. Gdy szedł ulicami, a prawie nigdy nie podróżował inaczej niż pieszo, gdyż tak nakazywała reguła mijali go, oglądając się ukradkiem. Wyglądał dostojnie i poważnie – wysoki młody mężczyzna w czarnej tunice i spodniach, w rękawiczkach i ciężkich, podkutych butach. Tak musiał wyglądać, bo wykonywał Prawo.

Wiedział, że niektórzy go nienawidzą, brzydzą się nim, pogardzają. Nie przejmował się tym. Bo gdy szedł pośród różnobarwnego i różnokształtnego tłumu ludzi o strojach i ciałach ukształtowanych według tysięcznych mód, obyczajów i religijnych nakazów, wiedział, że stanowi symbol jedynej siły łączącej ich wszystkich – Prawa.

Miecz nosił na plecach – srebrna głownia i srebrna klamra pasa przecinającego pierś stanowiły jedyną ozdobę czarnego stroju. Zgodnie z regułą Cechu, miecza nie mógł dotykać nikt prócz niego, Damiena van Dorna, kata miasta Alghara.

Szafot – kanciasta konstrukcja z lśniącego marmuru – stał na Placu Sędziów. Na środku kwadratowego podestu znajdował się czarny walec, nazywany potocznie pieńkiem. Szafot algharski nie miał zapadni – głowę i korpus ofiary znoszono do ambulansu. Kata odwoziła do domu specjalna kapsuła. Tłum czekał zwykle na ten moment, potem się rozchodził.

Lecz tamtego dnia, cztery lata wcześniej, ceremonia dopiero się zaczynała. Cały Plac Sędziów wypełniali ludzie. Miejsce egzekucji otaczały wysokie ściany z wielkich czarnych bloków. Można się tam było dostać ośmioma bramami, kontrolującymi liczbę ludzi, ich wygląd i stan. Na plac nie mógł dostać się żaden Obcy. Posiadacze wideoskór musieli je wygasić. Zatrzymywano każdego, kto wyglądał na ćpuna, lub wirtuala. Oczywiście, nigdy nie udawało się wybrać wszystkich – lecz jeśli ktoś zachowywał się niewłaściwie, natychmiast zatrzymywały go służby porządkowe. Za znieważanie uroczystości obowiązywały surowe kary. Rzecz jasna, zdarzały się incydenty. Na pole egzekucji przedostawali się naszprycowani faceci, którzy przychodzili na plac trochę pohłasować. Abolicjoniści, próbujący powstrzymać egzekucję, albo przynajmniej zachowywać się na tyle prowokacyjnie, by pokazywano ich potem we wszystkich serwisach wideo. Zboczeńcy, maniacy, religijni fanatycy pragnący przy okazji ceremonii zaspokoić jakieś niepojęte popędy. Nie wszystkich udawało się powstrzymać na czas. Trzy miesiące wcześniej z rąk abolicjonistycznego fanatyka zginął Rodric Gerwolf, kat miasta Bagro. Van Dorn zdawał sobie sprawę, że i jego kiedyś może spotkać ten los. Wypadek Rodrica nie był jedynym tego rodzaju w historii planety. W czasie pierwszych kilkunastu egzekucji van Dorn

często przypatrywał się tłumowi, jakby szukając swego zabójcy pośród zgromadzonych na Placu Sędziów ludzi. Potem przestał – koncentrując się zupełnie na tym, co miał do zrobienia.

Teraz czekał.

W czarnym kapturze na głowie, stał na wprost pieńka, chwyciwszy miecz za rękojeść i ostrze. Zielone słońce, gwiazda na Ziemi nazywana Arką, stało w zenicie – egzekucje zawsze planowano na południe. Bolid, w którym przywieziono skazańca, właśnie podjechał do szafotu. Drzwi pojazdu rozsunęły się, dwaj strażnicy wyciągnęli więźnia. Wyprostował się, mrużąc oczy.

*Ciekawe, czy oprócz nas dwóch – pomyślał van Dorn – jest na tym placu ktoś jeszcze, kto mruży oczy od słońca...*

Niezwykle rzadko spotykało się ludzi bez wszczepów wzrokowych. Tylko reguły cechu Katów zakazywały jakiegokolwiek cyborgizacji.

Van Dorn myślał teraz o zbrodni Abisha, który, zanim został schwytany, zamordował cztery osoby. Kat powinien skoncentrować swe myśli na przestępstwie, poprzez krótką medytację ogarnąć prawdziwy kształt i skutki zbrodni, poczuć strach ofiar, ale i uszanować wolność mordercy dokonującego wyboru swej drogi. Kat Algahary nie był wyłącznie egzekutorem. Był też kapłanem Prawa.

Pomocnicy wprowadzili skazańca na szafot. Jeden odczytał wyrok sądu, a drugi przycisnął głowę Abisha do pieńka. Van Dorn stanął obok, przez chwilę ważył miecz w ręku.

– Jestem egzekutorem prawa – wypowiedział rytualną formułę.

Tłum zamilkł, bo tak nakazywał obyczaj. Tych, którzy go nie przestrzegali, nie wpuszczano więcej na Plac Sędziów.

– Wróć do ciebie, kacie – wyszeptał Abish i uśmiechnął się.

Słońce zabłysło na opadającym, srebrnym ostrzu miecza. Ciało Abisha osunęło się na podest, chwilę jeszcze drżało, wyrzucając z przeciętej szyi potoki krwi. Głowa przekręciła się twarzą do góry, jakby martwe, otwarte oczy szukały czegoś na szafirowym niebie. Wedle katów z Taraskat oznaczało to nieszczęście.

Sześć godzin później van Dorn stał oparty o kamienny filar, w ręku trzymając szklanę whisky. Spod półprzymkniętych powiek obserwował córkę gospodarza przyjęcia, Gubernatora Algahary, Simeona Rohmera. Sara Rohmer miała na sobie jedną z najpiękniejszych wideoskór, jakie van Dorn kiedykolwiek widział – symulację nocnego nieba obserwowanego z jakiegoś punktu w dysku centralnym galaktyki. Sara poruszała się wdzięcznie i miętko, nie deformowały jej żadne wszczepy czy symbiotyczne wspomagacze. Była prawie naga – zakryła tylko łono i pośladki. Całą resztę jej ciała pokrywała czerń rozgwieżdżonego nieba, rozświetlona tysiącem kolorowych punktów, plam i smug – gwiazd, mgławic, gromad przepływających po brzuchu i plecach dziewczyny, iskrzących się na piersiach, oplatających boscie stopy, łydki i uda, migocących na twarzy i wygolonej głowie. Jasne oczy, porcelanowobiałe zęby, różowy język – to jedyne ludzkie barwy, jakie zachowały się na ciele Sary.

– Niezła dupa, współniku – skomentował całą rzecz McKelly, szef wydziału specjalnego policji miasta Algahara. McKelly był porządnym człowiekiem, nie aspirującym nigdy do przebywania w tak zwanej elicie towarzyskiej. Trafił do niej i tak dzięki niezwykłej pracowitości, wspartej sporą dawką szczęścia. Zgromadzonym na bankiecie ludziom przyglądał się z lekkim uśmiechem i pobrzmiwającym w głosie pobłażaniem. Do van Dorna nie mówił inaczej jak *wspólniku* – wszak sam wyłapywał przestępców, którym Damien ścinał potem głowy. Kiedyś to określenie drażniło kata, potem się przyzwyczaił, teraz nawet polubił. W McKellym odnalazł człowieka, z którym mógłby się zbliżyć, zaprzyjaźnić, gdyby tylko zdarzyła się po temu jakaś okazja.

– Do wzięcia – mruknął van Dorn po chwili milczenia. Podobno nie jest głupia.

– Rzadkość – McKelly z uznaniem pokiwał głową i zmienił temat. – Czy wiesz, co to jest dąb?

– Chyba jakiś morski zwierzak...

– Nie, to drzewo jeszcze ze starej Ziemi. Czy wiesz, że posadzono u nas dębowy las, specjalnie, żeby robić beczki?

– Po diabła komu dębowe beczki?

– Ano, żeby whisky miała w czym leżakować. Seagren's Whisky. Pomyśl sobie, mamy agrokultury, w których można wyhodować każdą potrawę, jaką tylko ci pieprznicy genetycy potrafią wymyślić. A oni, tu – wskazał palcem na rozmawiających w drugim końcu sali mężczyzn – sadzą na polach drzewa żeby potem móc za bajońskie pieniądze sprzedać oryginalną Seagrens Whisky albo Mum Corden Rouge.

– Znasz się na tym.

– Znam. To, wspólniku, jest uczciwe hobby. Żadnych prochów, fałszywych światów, syntetyków. Czysty, zdrowy alkohol. Pijesz gorzałę i jesteś w niebie.

Mmmm... patrz, płynię do nas.

Sara rzeczywiście skierowała się w ich stronę. Na jej brzuchu rozgorzała złotoczerwona łuna, harmonia światła zakłótyła się razem z jędrnymi piersiami. Córce gubernatora towarzyszył niski mężczyzna w służbowym stroju rządowych informatyków Końcówki neuroprzystawki sterczały mu zza głowy, a policzki porastała kolonia oczyszczających grzybków.

– Witam panów – mapa nieba otworzyła się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby („Czy jej język jest rzeczywiście tak różowy czy to tylko kontrast z ciemną twarzą?” – zastanowił się van Dorn).

– To nasz nowy gość, informatyk z centrum Tryzuba Olgierd REM.

– Mieliśmy przyjemność – McKelly wyciągnął rękę.

– Pan van Dorn? – informatyk skinął głową w kierunku Damiena.

– Witam – van Dorn pomyślał, że powitanie w sytuacji, w której jedne osoby się znają, a inne nie, to jedna z bardziej skomplikowanych ceremonii towarzyskich.

– Pewnie zadawano panu to pytanie setki razy – Sara przysunęła się do kata. – Co pan czuje teraz, wieczorem, sześć godzin po... – zawiesiła głos, jakby szukając słów.

– Po egzekucji – odpowiedział Damien. – A co czuje pani po dobrze wykonanej pracy?

– No... – zawahała się. Na jej sprężystej skórze wciąż rozgrywał się przyspieszony milionrotnie dramat wszechrzeczy; teraz można było obserwować zderzenie dwóch spiralnych galaktyk – Zmęczenie i satysfakcję, ale przecież to... jakby... nie to samo...

– Dokładnie to samo. Wątpliwości, o które mnie pani podejrzewa, nie mam. Przemysleń dotyczących śmierci tych ludzi mojego w niej udziału dokonałem dawno, jakieś dziesięć lat temu.

– Tak, tak... – kiwnęła głową, chyba nie do końca rozumiejąc o co mu chodzi.

– Mój wspólnik zapomniał powiedzieć, że nie jest normalnym człowiekiem – wtrącił się McKelly. – Czubkiem też nie jest – dodał szybko, widząc jej zdziwienie. – W dzieciństwie przechodzimy testy, prawda? Mamy szczególnie predyspozycje do uprawiania różnych profesji, także katowskiej. Poczucie obowiązku, wewnętrzna harmonia, opanowanie, wysokie poczucie sprawiedliwości – tylko takim ideałom powierza się tę pracę. Na marginesie dodam, że chcąc zostać policjantem na wysokim stanowisku, trzeba się wykazać co najmniej trzy razy większą dozą poczucia obowiązku i sprawiedliwości, nie wspominając już o wewnętrznej harmonii – McKelly wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Sara skutecznie udawała zainteresowanie jego monologiem. Kiedy skończył, poczuła się zwolniona z obowiązku dalszego wysłuchiwanie poważnych treści – uśmiechnęła się znowu,

szeptnęła „jeszcze o tym porozmawiamy” i odpłynęła ku weselszej części towarzystwa, krokiem falującym i płynnym. Na jej pośladkach pulsował łagodnie kwazar z rozpiętymi w czerni dżetami.

– Niezła dupa, co? – informatyk rozpoczął rozmowę dość bezceremonialnie, jak na osobę nową w towarzystwie. Van Dorn postanowił nie patrzeć na symbiotyczne grzyby porastające jego policzki i wnętrze ust. Cechowe tatuaże na łysej czaszce REMa pulsowały łagodnym światłem. Zwoje zakończonych wtykami kabli, zgodnie z ostatnią modą, tkwiły na czubku głowy informatyka niczym dziwny kok.

– Zaiste, ale pewnie w sieci pływają lepsze? – van Dorn odczytał w głosie McKelly’ego niechęć wobec intruza, który wdarł się do rozmowy o alkoholach i kobietach.

– Pływają – kiwnął głową REM. – Ja nie rozróżniam żywczyków i cybich. Szczerze mówiąc, nie ma dla mnie żadnej różnicy, gdzie jestem, tu czy tam – stuknął palcem we wszczep neuronowy. – Co nie przeszkadza cenić ładnych kobiet.

– Tu i tam – McKelly dotknął palcem czoła.

– I owszem – REM uśmiechnął się, lecz nagle spowaźniał. To dobrze, że jesteście razem, panowie. Tak naprawdę przyszedłem na przyjęcie, żeby spotkać właśnie was.

– No bo w zasadzie, po co się ruszać, skoro każde party można sobie urządzić tam – znów przerwał mu McKelly.

– Rzecz jasna – REM był jednym z najcierpliwszych informatyków, jakiego spotkał van Dorn. – Czy mógłbyś wyjąć swój koder.

McKelly spojrział na niego ze zdziwieniem, sięgnął jednak do kieszeni munduru i wyjął końcówkę kompa.

– Z ekranem – dodał REM. Odwinął z głowy swój kok, podał końcówkę policjantowi. Zmrużył oczy. Fantazyjne plamy na jego czaszce stały się jaskrawoczerwone – znak, że neurokomputer sprzężony z mózgiem REMa pracował.

McKelly podwinął rękaw, odsłaniając pokrywającą nadgarstek folię ekranu. Twarz policjanta zmieniła się – ustąpił wyraz znużenia i irytacji, pojawiło się zdumienie i ciekawość.

Chyba niepokój.

– W porządku – powiedział po chwili i zwrócił się do van Dorna. – Ten człowiek, wspólniku, to nie tylko pracownik Instytutu Tryzuba, ale także przedstawiciel administracji Imperium na Algaharze. To nie jest tajna informacja, ale niekoniecznie trzeba ją rozgłaszać.

– O co chodzi? – spytał van Dorn, odstawiając na stół szklankę whisky.

– Człowiek, którego ściąłeś dziś na placu – powiedział REM powoli – to Wdowiec. Otrzymał komunikat z Toforii. Za dwa dni Wdowcy przybędą po ciało Abisha i jego procesor osobowości.

– Wdowiec?

– Tak, van Dorn.

– Dlaczego – głos McKelly’ego stężał – my nic wcześniej o tym nie wiedzieliśmy? Ani sąd? Kto to przegapił?

– Nikt – REM uśmiechnął się. – Abish był obywatelem Imperium. Człowiek w żadnej sytuacji nie musi przyznawać się do swojej wiary. Kult Wdowców ma status religii.

– Powiedział: „Wróć do siebie” – mruknął van Dorn.

– Udostępniam wam tę informację, nieoficjalnie, panowie powiedział REM – z tego właśnie powodu, że Abish to psychopata. Waszą planetą rządzą surowe prawa. Centrala uznała, że konflikt prawny między Abishem jako obywatelem Imperium a waszą jurysdykcją może doprowadzić do poważnych następstw.

– Abish to psychopata – jęknął McKelly.

– Właśnie o to chodzi. Nie wiemy, czy tu wróci – a trzeba się liczyć z taką ewentualnością. Może znów zacząć zabijać. Reguła Wdowców jest surowa, silnie akcentuje się w niej element wendety. Jesteś, kacie, jedną z pierwszych osób, którą weźmie na cel...

– „Wróć do ciebie”, tak powiedział – powtórzył van Dorn.

– To tyle, co miałem wam do przekazania, jako przedstawiciel administracji Imperium. Nie muszę chyba powtarzać, że prosiłbym o dyskrecję... – spojrzał na chcącego coś powiedzieć van Dorna i dodał szybko. – Nie, nie, to nie jest żadne zobowiązanie, McKelly dokładnie wyjaśni prawny aspekt całej sprawy. Aha, byłbym zapomniiał, oficjalny raport o sytuacji wysłałem też na Toforię. Może sam Wielki Ojciec zadecyduje o zablokowaniu dalszego rozwoju Abisha, oni dbają o reputację klanu.

– Dzięki – mruknął McKelly. – Odpływasz tu czy tam?

– Tu – uśmiechnął się REM – sporo tu niezłych dup, co?

\* \* \*

Kobieta, która leżała w łóżku obok van Dorna była znacznie brzydsza od córki gubernatora. Miała sztucznie powiększone oczy, zniekształconą wedle ostatniej mody żuchwę i piersi pokryte żywym tatuażem. Damien zdecydował się spędzić z nią noc, bo nie chciał wracać do domu sam. Ofiarowali sobie dostatecznie wiele czułości i przyjemności, by tego nie żałował. Teraz dziewczyna spała, a on leżał w łóżku, rozważając wszystko, co dziś usłyszał, przeczytał i zobaczył.

Zaraz po rozmowie z Olgierdem REMem, wraz – z McKellym wymknął się z przyjęcia, zabierając ze sobą dwie flaszki whisky Crown Royal. Każda z nich kosztować musiała więcej niż roczne dochody przeciętnego człowieka. Oczywiście, McKelly od razu uraczył Damiana informacją, że procedurę produkcji tej whisky opracowano specjalnie dla jakiegoś króla, jeszcze na Starej Ziemi. Dwie godziny spędzili w biurze policjanta, zbierając i segregując dane o Wdowcach, odpowiednich paragrafach prawa imperialnego i Abishu.

Po pierwszej godzinie i pierwszej flasce van Dorn pomyślał, że być może z całej tej sytuacji da się wyciągnąć jakąś korzyść – znajdzie się wreszcie pretekst do częstszych kontaktów z McKellym.

Po dwóch godzinach mieli już pełne dossier Abisha, a przynajmniej wszystko to, co dało się oficjalnie wyciągnąć przez policyjne kompy oraz co informatyk McKelly’ego wygrzebał w tajnych danych Wdowca. Nieznana pozostała cała jego przeszłość, związana z pozycją i życiem w społeczeństwie Wdowców, ale to akurat najmniej im się wydawało potrzebne. Po dwóch godzinach grzebania w bazach danych i dwóch flaszkach Crown Royała, postanowili wrócić na gubernatorskie party. Zażyli więc pastylki otrzeźwiające i pojechali do pałacyku Rohmera. Tam McKelly usilnie i bezskutecznie zaczął podrywać Sarę Rohmer, a van Dorn bez większych problemów dał się uwieść Izydzie Asz’aa, córce właściciela średniej wielkości korporacji biochemicznej. Teraz ona spała, a van Dorn znów wrócił myślami do Abisha.

Wdowcy byli starą, liczącą już ponad dwieście lat sektą, której korzenie wywodziły się z ziemskiej wiary w reinkarnację i religii jedнопłciowych mieszkańców Toforii. Toforianie rozmnażali się w sposób, który ludziom umożliwiła dopiero technika – przez klonowanie. Ich religie silnie korespondowały z ziemskimi kultami przodków i wiarą w reinkarnację. Na Toforii powstawały Domy nie tylko ludzi, ale i Parksów, i Kajagonnich. Klan ludzi tworzyło kilka sekt, różniących się czy to regułą, czy rytuałem, czy interpretacją kanonu – transkrypcje oryginalnych

toforiańskich świętych ksiąg były niejednoznaczne. Dom tworzyło siedem dużych i kilkanaście mniejszych odłamów, wśród których większość przyjmowała tylko mężczyzn, trzy były koedukacyjne, a jeden żeński.

Abish należał do dużego, koedukacyjnego odłamu religijnego, kładącego silny nacisk na reinkarnację i ciągłość trwania ludzkiej duszy w wielu ciałach. Każdy członek sekty miał wszczepiony w mózg bioelektroniczny rejestrator, zapisujący obrazy, dźwięki i najważniejsze emocje doznawane przez Wdowca. W chwili śmierci uruchamiano program rekonstrukcyjny. Ożywiano jego komórkę pozostawioną w tymże Domu. Przekazywano chip pamięci na Toforię, do siedziby Domu i ożywiano pozostawioną tam komórkę Wdowca. Przez trzy lata, przyspieszając sztucznie rozwój, hodowano ludzki organizm w sztucznej macicy. Przez cały ten czas do mózgu nowo formowanego Wdowca wprowadzano zapis przeżyć wszystkich jego przodków. Po zakończeniu tego procesu kopia Wdowca o wieku biologicznym około dwudziestu lat opuszczała macicę i po krótkim pobycie w ośrodku przystosowawczym rozpoczynała samodzielne życie. W świetle prawa imperialnego był to wciąż ten sam człowiek. Wdowcy zdobyli ów przywilej dzięki usługom, jakie chętnie świadczyli reszcie ludzkiej społeczności – często wykonywali niezwykle niebezpieczne zadania, w których potrzebny był udział człowieka.

Istniały oczywiście społeczności klonów nie przyznające się do tradycji toforiańskich Domów, ale nie były tak znane i nie posiadały tego statusu co Wdowcy.

Problem, z którym zmierzyć się mieli van Dorn i McKelly, wiązał się właśnie ze sprzecznościami między hierarchią praw społeczności Wdowców a jurysdykcją Imperium Solarnego.

Abisha osądzono i skazano. Wyrok wykonano. Każdy skazaniec, po odbyciu kary stawał się normalnym członkiem społeczeństwa. Nie można było go uwięzić, sądzić ponownie, zakazać mu przylotu na planetę. McKelly twierdził, że brakowało podstaw do sekowania Abisha w jakikolwiek sposób.

Popełnił przestępstwo, został schwytany i ukarany. Kropka. Szlus. Amen.

Można tylko czekać na jego ruch – za trzy lata.

Trzy lata... Jakie to dziwne, myślał van Dorn, leżę tu, czuję, patrzę, a człowiek, któremu ściałem głowę, jest teraz ludzkim zarodkiem zawieszonym w organicznych pożywkach i faszerowanym wspomnieniami ludzi żyjących sto lat temu, będących równocześnie nim samym. Karakołomność tej sytuacji dziwiła nawet van Dorna, choć przecież zetknął się w życiu z wieloma dziwnymi ludźmi i sprawami. Po raz kolejny dostrzegał sens w surowym kodeksie, jaki ustanowili na Arce pierwsi osadnicy, w drastycznych ograniczeniach swobody genetycznej obywateli, długich listach zakazanych wirtuali i psychotropów, w drastycznej przewadze sądów nad innymi organami władzy. Arka była jedyną ludzką, w pełni zasiedloną planetą, na której z wyznaczenia kary śmierci i przeprowadzania samej egzekucji uczyniono ceremonię niemalże kultową. Prestiż państwa oparto tu na prestiżu Prawa.

To Prawo zezwalało Abishowi na powrót i swobodne poruszanie się po planecie. A powiedział: „wrócę do ciebie”...

Straszył, czy tylko żartował? Czy Wielki Ojciec zezwoli na reinkarnację, mimo sygnałów władz imperialnych? Czy Abish tu przyleci i czy rzeczywiście po to, by zabijać? Pytania wciąż powracały.

Co prawda, stać się to miało dopiero za trzy lata.

To mnóstwo czasu dla młodego mężczyzny. Dziesiątki kobiet, z którymi można się kochać, setki wirtuali, które można zwiedzić, tysiące godzin, w czasie których może człowieka dopaść śmierć. To wreszcie, przyjmując średnie tempo dokonywania egzekucji, jakieś pięćdziesiąt spotkań na Placu Sędziów.

Van Dorn powoli uspokajał się.

O tak, był mistrzem spokoju, rekordzistą wewnętrznego ładu, czempionem harmonii duszy. Tak przecież mówiły wyniki testów psychologicznych i neurologicznych, przez które przejść musiał każdy kandydat na kata.

W teorii arkańskiego prawa sprawował funkcję niejako mistyczną – zarazem sługi i władcy społeczności, która się tym prawem kierowała.

Dość! – umysł van Dorna zaprotestował przeciw ilości ważnych spraw, jakie przyszło mu rozważać tej nocy. Damien przysunął się do odwróconej plecami Izydy. Przesunął dłońmi po jej pośladkach, przeciągnął palcem wzdłuż kręgosłupa, dotknął piersi. Odwrócił ją delikatnie, tak by się nie obudziła. Rozchylił pośladki dziewczyny i wsunął się w nią, przyciskając biodra do chłodnej, gładkiej skóry.

Mruknęła coś przez sen.

Czekał, aż kobieta się obudzi, lecz równocześnie nie chciał tego przebudzenia. W chwili, w której drgnęła, gwałtownie chwytając jego dłoń, a zaraz potem jęcząc z rozkoszy, zrozumiał, że najbliższe trzy lata też będą dla niego takim oczekiwaniem, które trwać ma jak najdłużej i jednocześnie wydaje się niemożliwe do zniesienia.

## 2.

Wspomnienie tamtej nocy sprzed trzech lat przyszło nagle. Leżał na białym piasku, obserwując kąpiącą się w morzu kobietę. Jej smukłe zgrabne ciało, nie poddane żadnym modnym transformacjom, co chwila niknęło pod wodą. Dziewczyna krzyczała głośno do nadciągających fal i rozpryskiwała na wszystkie strony kryształową wodę.

Przywołujący terkot kompa wyrwał van Dorna ze stanu błogiej satysfakcji samym faktem istnienia. Damien nałożył kompokulary.

– Przyleciał – głos należał do McKelly’ego, równocześnie przed oczami van Dorna przesunął się ciąg obrazów pokazujących mężczyznę wysiadającego z promu orbitalnego. Van Dorn od razu rozpoznał tę twarz i sylwetkę. Tyle że mężczyzna z kosmolotu był znacznie młodszy od tego, któremu van Dorn uciał głowę.

– Co teraz? – spytał Damien, choć omawiali tę sytuację wielokrotnie.

– Sądzę, wspólniku, że bardzo chętnie wrócisz teraz do Algahary – wszystko zmieniło się przez te trzy lat w ich stosunkach, z wyjątkiem słówka „wspólniku”, które McKelly umiał wypowiadać na tysiąc sposobów.

– Nie mógł poczekać jeszcze tygodnia, skurwieli – mruknął Damien, obserwując jak dziewczyna wychodzi z morza i powoli idzie w jego stronę, wytrząsając wodę z długich zielonych włosów.

– Włącz podgląd – poprosił McKelly, a kiedy Van Dorn dotknął sensora na oprawce kompokularów, policjant gwizdnął. Nieźle, wspólniku, całkiem nieźle. Ja tu ciężko pracuję, starając się zapewnić ci bezpieczeństwo, a ty łapiesz życie, że tak powiem, za sam tyłeczek. Zmartwię cię, miernik mojego sumienia wskazuje zero. Przyjeżdżaj natychmiast.

– Dobra, już dobra...

– Aha, nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na czarny pasek wytatuowany na policzku Abisha, tam na lądowisku?

– Szczerze mówiąc...

– Mądrale z sekcji danych twierdzą, że Wdowiec tak się stempluje, kiedy wyrusza w ważną misję.

- Noo...
- Wiesz, że nie powinniśmy rozmawiać w sieci. Przyjeżdżaj szybko, van Dorn.

\* \* \*

– Ekran – zażądał McKelly i w tym momencie szyby jego gabinetu ściemniały, włączyły się wentylatory, a konsola komputera zasygnalizowała gotowość. Za kwadratowym, zielonym stołem siedziało czterech mężczyzn. Oprócz McKelly’ego i van Dorna na naradę przyjechał Ron el Haram, szef bezpieczeństwa planety i Oeo Eeon, Generalny Prokurator. Haram kierował niegdyś tym samym wydziałem co teraz McKelly, a Eeon był katem w Rivelay.

– Nie będę przypominał faktów – zaczął komisarz. – Życie van Dorna, a może i innych mieszkańców Arki, jest zagrożone. Musimy unieruchomić Abisha, nim on dobierze się do tyłka Damiena.

– Dowody? – spytał el Haram. Miał zwyczaj wygłaszania nie więcej niż trzech słów. Za to jego krzaczaste brwi nadawały twarzy wyraz niezwyklej ekspresji.

– Trzy zabójstwa i groźba – odpowiedział McKelly, wyraźnie zaniepokojony stanowczością głosu szefa.

– Wyrok wykonano – zauważył Eeon.

– No właśnie – McKelly kiwnął głową. – Za stare grzeszki go nie wsadzę. Ale ta groźba...

– Śmieszna.

– Pułkownik ma rację – włączył się el Haram. – Każdy sąd to zakwestionuje.

– Możemy coś sfingować... – McKelly nie ustępował.

– Nie – van Dorn zdecydowanym głosem włączył się do dyskusji. – Żadnych prowokacji, żadnych nadużyć. Będę na niego czekał.

– Wspólniku, ten facet chce cię zjeść żywcem...

– Jestem Prawem, Ray, czyżbyś zapomniał?

– Damien ma rację – pokiwał głową Eeon. – Wiecie o tym doskonale. Na razie Abish porusza się incognito, ale pismaki szybko zwąchają sprawę i wezmą go na celownik. Rozszarpia nas, jeśli coś pokpimy. Abolicjoniści dostaną w łapy potężny argument.

– Ci durnie? – spiął się McKelly. – Przecież to bandzior, morderca, maniak. Przyjechał tu na łowy. Będzie polował na ludzi!

– Nie znasz ich, Ray? Tych świętoszkowatych cwaniaków zbijających polityczną kabzę na szermowaniu pięknymi haselkami? – Eeon wyraźnie się rozkręcił. – A publiczność to kupuje: nie ma różnicy między zamordowaniem człowieka a ścięciem jego zabójcy; przestępców nie wolno karać, a trzeba reedukować... i cała masa podobnych farmazonów. Wszystkie stare jak ludzkość. Ile oni mi krwi napsuli... A my, panowie, jesteśmy od tego, żeby łapać pieprzniętych psychopatów i nigdy więcej nie dopuścić ich do ludzi. Ale z Abishem sprawa jest inna...

– Tak nie może być! – McKelly poderwał się z krzesła. Abish zabije Damiena, przecież...

– Siadaj Ray – głos van Dorna był spokojny. – Wyjaśnijmy dwie sprawy. Ja służę ludziom. Jestem niewolnikiem z wyboru. Dla większości mieszkańców tej planety to my, kaci – nie sądy, nie policja, nie administracja – tylko my, egzekutorzy, uosabiamy ład i porządek, stabilność i bezpieczeństwo. Przypomnijcie sobie, co działo się po aferze Collidica. A on tylko nie płacił podatków. A ty, Ray, chcesz siebie i mnie wpuścić w jakieś lewizny. Gównno wyjdzie z takich numerów.

– Dobra, więc to już ustaliliśmy – po chwili ciszy podjął dyskusję Eeon. – Pozostaje drugi problem. Jak zagwarantować ci bezpieczeństwo?



– Nie ma takiego sposobu – stwierdził sucho McKelly. Chyba że wpakujemy Damiena do schronu siłowego. Ale kto wie, z czym przyjechał Abish? Może już teraz rozpuścił feromony dostosowane tylko do twojego organizmu, które za pięć lat zaczną ci zżerać mózg. Czytałem o takich rzeczach. Chociaż podejrzewam go o próbę bardziej spektakularną.

– Więc? – spytał Eeon.

– Dajcie, co możecie, a co nie utrudni mi życia – powiedział van Dorn. – Ja wracam na wyspę, tam łatwiej będziecie mnie mogli kontrolować.

\* \* \*

Van Dorn poznał Sansanę ponad pół roku wcześniej i od tamtej pory stanowili nieodłączną parę. Najpierw tylko lubił, a teraz już uwielbiał towarzystwo tej wysokiej, zielonowłosej dziewczyny, o smukłej sylwetce, małych piersiach i delikatnej twarzy. Była biologiem, specjalizowała się w odtwarzaniu biocenoz. Potrafiła godzinami opowiadać o wpływie zarodników psycholota na ekosferę stacji Spektor, o roli pożarów w cyklach rozwojowych greystockiej dżungli, albo o kolejności fal roślinożerców, które powinny wyżerać stopy Muminii, aby mogły tam istnieć podziemne kolonie chłęptaczy.

Van Dorn mógł słuchać jej trajkotania i przez tydzień. Później potrzebował co najmniej dwóch godzin odpoczynku. A potem z rozkoszą wracał do obowiązków słuchacza.

Nie jest dobrze, gdy zakochujesz się w kobiecie bez wad. Zwykle objawiają się one nagle i równocześnie, w blasku reflektorów, kiedy orkiestra podaje tusz. Van Dorn doświadczył niegdyś na sobie działania tej zasady, więc starał się szybko poznać wszystkie wady Sansany. Zbyt apodyktyczna, nadmiernie krytyczna wobec wszystkiego, co nie zgadzało się z jej zdaniem i gustem, no i wymagająca zbyt wiele od mężczyzny bądź co bądź na wakacjach. Lecz emanowała z niej mądrość, którą Damien nazywał „kobiecą”, a która oznaczała nieprzebrane pokłady wyrozumiałości, cierpliwości i czułości. Kiedy van Dorn przebił się, niby przez skorupę owocu, przez powłokę ostentacyjnej wyniosłości, wtedy dotarł do słodkiego miąższu – niepowtarzalnie smakowitego i ciągle obfitego.

Uwielbiał się z nią kochać. Sansana szukała nowych wrażeń (początkowo sądził nawet, bo już spotkał się z tym u swoich poprzednich kobiet, że Sansanę fascynowało uprawianie miłości z katem) i potrafiła je ofiarować. Na dodatek Damien po raz pierwszy zetknął się z kobietą, która potrafiła jednocześnie sprawiać wrażenie tak niewinnej, i tak doświadczonej.

Poddał się więc uczuciu bez specjalnej walki – po prostu doszedł do wniosku, że życie z tą kobietą będzie o wiele lepsze od innych związków czy samotności. Jak długo miał w tym stanie przebywać – nie wiedział, na razie było mu dobrze.

Damien nie zapomniał o Abishu, lecz emocje związane z Wdowcem zepchnął na dalszy plan. Jednak tamten nie odstąpił wdarł się w życie Damiena właśnie teraz: w trakcie upalnego urlopu i równie gorącej miłości.

– A kiedy cię odnajdzie, to co zrobi? – Sansana patrzyła na niego oczami okrągłymi z przerażenia. Oczywiście, po powrocie z Algahary opowiedział jej o wszystkim, choć jeszcze w samolocie obiecywał sobie, że utrzyma całą sprawę w tajemnicy.

– Nie zamierzam uciekać.

– Przecież tak by było lepiej.

– Dziewczyno, tu nie chodzi o lepiej – van Dorn spoważniał w wystudiowany sposób. – Ja jestem katem. Dla większości ludzi postacią nieco nierealną, rozumiesz?

– Rozumiem – uśmiechnęła się. – Ale dlaczego nie możesz uciec?

Sapnął gniewnie.

– Prawo. Ja nim jestem. Ludzie przybywają tu, bo słyszeli o panującej na Arce wolności i prawie. Tę kolonię zorganizowano wedle ściśle przestrzeganych reguł – nielicznych, ale surowo egzekwowanych. W ostatnich latach próbuje się je złamać zamieszkało tu wielu nowych osadników, nasilają się akcje abolicjonistów. Kupa facetów chce zbić fortunę na jurydycznych rozgrywkach. Kiedy okazało się, że Abish jest wdowcem, huku było co niemiara. Teraz, sądzę, on może zechcieć to wykorzystać. Obecność kamer i rejestratorów utrudnia policji unieszkodliwienie go w sposób nielegalny. Takiego ruchu nie poprze zresztą i góra, choćby nawet McKelly coś tam kombinował. Wybory za pasem, nikomu nie jest potrzebny rozgłos dający głosy abolicjonistom. Regent nie byłby z tego zadowolony. Nielegalne działania osłabiłyby autorytet instytucji, które reprezentuję. To jedno. Po drugie, ja sam nie chcę uciekać, rozumiesz Sansano?

– Tak, Damien, tak – delikatnie dotknęła dłonią jego piersi. I wiem, czego chcesz ode mnie.

– No?

– Chcesz, żebym cię na jakiś czas zostawiła, prawda? – nie czekała na odpowiedź, tylko uważnie spojrzała w oczy mężczyzny. – Nie licz na to. Zostaję z tobą.

\* \* \*

– Jak tam, współniku? – spytał McKelly wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Dalej jeden kociak?

– Dalej – mruknął van Dorn. – Też by ci się przydał.

– Zmiana – McKelly powoli wymawiał każdą głoskę, rozkoszując się ich brzmieniem – ruch, przepływ... człowieku, to jest życie. Nawet głupia żaba widzi i konsumuje tylko to, co się rusza.

– Jaka sprawa? – van Dorn bezlitośnie przerwał te dygresje.

– Trzymam go cały czas. Ten jego osobisty chip, mimo tłumień, daje jednak charakterystyczny sygnał. Na podstawie echa lokalizujemy Abisha, a cybery z technicznego twierdzą, że możemy nawet z grubszą określić, co nasz petent robi.

– I co robi? – zaciekał się Damien.

– Poszwendał się po mieście, zaliczył kilka lokali, trochę pograł na symulatorze. Teraz też w coś tłucze, od siedmiu godzin siedzi w swojej kwaterze i walczy w jakimś wirtualu.

– Czyli mam jeszcze trochę wakacji...

– Jest lepiej niż myślałem. Może w czasie kopiowania pamięci wymazały mu się kawałki związane z twoim udziałem w jego dekapitacji. No, współniku, a jeśli ruszy się w twoją stronę, to mamy na niego oko. Śpij spokojnie, współniku. O ile masz czas na spanie...

– Śpij spokojnie, maleńka – szepnął w ucho Sansany, wstając z łóżka i idąc do kuchni. Dziewczyna wydawała się zmęczona kolejnym nerwowym dniem. On przeciwnie – emocje związane z przylotem Wdowca wygaszały, a egzotyczny i dziki krajobraz za oknem bungalowu pobudzał jego wyobraźnię. Van Dorn postanowił zrobić sobie drinka i posiedzieć na werandzie. Pomyśleć.

Tu na Wyspie Kapelusza wszystko wydawało się bezpieczne i spokojne. Cały archipelag znajdował się we władaniu arkijskiej przyrody. Gdy na planecie pojawił się człowiek, biosfera planety znajdowała się mniej więcej na poziomie ziemskiego permu. W oceanach i zbiornikach słodkowodnych tętniło życie, na pokrytych obficie roślinnością lądach nie pojawiły się jeszcze duże zwierzęta, pierwsze odpowiedniki ziemskich płazów penetrowały obrzeża rzek i jezior. Wyspa Kapelusza, nazwana tak z powodu swego kształtu przypominającego elegancki melonik,

leżała w ciepłej strefie umiarkowanej. Cała część południowej półkuli stanowiła olbrzymi rezerwat rodzimej arkijskiej przyrody. Znajdowały się tu nieliczne osiedla ludzkie – niezwykle drogie kurorty i placówki badawcze biologów – ze ściśle kontrolowaną liczbą mieszkańców. McKelly uznał, że w takim miejscu najłatwiej będzie pilnować Damiana – na Kapeluszu przylatywały tylko trzy samoloty dziennie, a do jego brzegów dobijały dwa statki w tygodniu.

Van Dorn siedział na werandzie i słuchał grania wielkich owadów, nazywanych potocznie skrzypkami. Ciepły wiatr kołysał zaroślami i giętkimi pniami drzewopodobnych paproci. Damien van Dorn, kat miasta Algahara, myślał o swoim życiu.

Miał trzydzieści cztery lata, a od ośmiu był katem. Przez ten czas wykonał sto trzy wyroki. Prawa Arki należały do najsurowszych w Imperium, kodeks przewidywał karę śmierci za wiele przestępstw, które gdzie indziej karano wieloletnim więzieniem z możliwością przebywania w rzeczywistościach wirtualnych.

Na Arce szło się na szafot za zabójstwo z premedytacją, ale i za jego próbę, nawet jeśli ofiara zamach przeżyła. Karano gardłem terroryzm i rozbój. Ludzie kładli głowę na pieńku nawet wtedy, gdy nieumyślnie spowodowali śmierć człowieka, a przebywali w ciągu narkotycznym czy cyberprzestrzennym. Trzech arkijskich katów wykonywało ponad pół setki wyroków rocznie. Na Place Sędziów, znajdujące się w największych miastach planety, ściągały tłumy.

Van Dorn otrzymał powołanie. Do siedziby Cechu zgłosił się, gdy skończył dziewiętnaście lat. Przeszedł wstępne testy psychologiczne i skierowano go na dalszą obserwację. Kontrolowano i analizowano jego postępowanie podczas studiów. Gdy skończył dwadzieścia trzy lata, oficjalnie zapisał się na listę elektorów. Kiedy zmarł Fordran at Alann, kat Algahary, elektorów wezwano na drugą serię testów. I te zaliczył pomyślnie choć nic nie mógł powiedzieć o ich treści, bo przeprowadzano je symulacyjnie, odcinając pamięć. Potem musiał jeszcze przejść specjalne szkolenie – zafundowano mu błyskawiczny kurs prawa, cykl sesji medytacyjnych, zaprezentowano gigantyczny zbiór dzieł sztuki, nie tylko ludzkiej, poświęcony śmierci i prawu.

Van Dorn, tak jak jego cechowi bracia, nie miał zostać oprawcą, prymitywnym rzeźnikiem, psychopatycznym wykonawcą cudzych wyroków. Nie – on miał stać się reprezentantem społeczności, działającym w jej interesie; bratem ofiary, współodczuwającym z nią i w jej imieniu podnoszącym karzące ramię. Uosabiał to, co stanowi podstawę każdego prawnego ładu, umożliwiającego istnienie zbiorowości składającej się z wolnych i niezależnych jednostek – niezmiennosc, sprawiedliwość i karę.

Różnie postępowano z przestępcami na planetach należących do Imperium Solamego, walsalnych koloniach, światach niezależnych. Wsadzano ludzi do tradycyjnych więzień albo zamykano w więziennych wirtualach, wymazywano im fragmenty osobowości albo leczono farmakologicznie. Kierowano do reedukacyjnych obozów lub wypreparowywano mózgi wszczepiane potem cyborgom. Ostatnio coraz większą popularność zdobywały tak zwane szybkie wirtualne więzienie. Skazaniec przebywał w sztucznej rzeczywistości przez kilka dni – lecz jego mózg rejestrował odsiadkę wieloletnią, zależną od wyroku. Skazaniec był wolny po kilkudziesięciu godzinach czasu realnego, choć psychicznie starzał się o całe dekady.

Różnice pojawiały się wszędzie tam, gdzie pozwalał na to imperialny kodeks. O prawodawstwie Obcych van Dorn uczył się na studiach, ale nie wszystko z tego zrozumiał. Na przykład w wielu społecznościach Parksów obowiązywało prawo zmuszające zabójcę do zjedzenia mózgu swojej ofiary. Przestępca, który na to przystał, musiał wypełnić kilka rytualnych obrzędów, a następnie wypuszczano go na wolność. Jednak po pewnym czasie psychika przestępcy ulegała zakłóceniu, następowało rozdwojenie osobowości – pojawiała się jaźń zab-

itego, stopniowo przejmująca kontrolę nad ciałem. Van Dorn niewiele zrozumiał z biologicznego wykładu – chodziło o pamięć genetyczną i enzymatyczną, tak, tak to się właśnie nazywało...

– Niespodzianka! – miękkie, ciepłe dłonie zakryły mu oczy.

– Już nie śpisz, mała? – zaskoczony, zadał pytanie pozbawione większego sensu, skoro kobieta stała za jego plecami.

– Miałam dziwny sen... – zawiesiła głos. – Chciałbyś kochać się z kimś, kogo potem zetnisz?

– Co za bzdura... – przerwał jej, wstając z fotela.

– A z kimś, kto ściałby ciebie, Damien?

– To nie jest śmieszne...

– Jak nie chcesz, to mogę w ogóle się nie odzywać. Jeszcze będziesz prosił – zaakcentowała ten wyraz – żebym ci cokolwiek opowiedziała.

– Cokolwiek – zgoda – uniół ręce w obronnym geście – ale nic o mojej robocie. To trudna i odpowiedzialna profesja...

– Żartujesz sobie z tego – przerwała mu zdziwiona. – Zabijasz ludzi i kpisz z tego.

– Bynajmniej – Damien spoważniał, choć wcale nie miał ochoty na powtarzanie po raz kolejny tych samych kwestii. Tłumaczyłem ci już. Nie mam serca ani sumienia. Wypreparowali je ze mnie na studiach. Szlachtowanie ludzi i zajęcia w kółku stolarskim jednakowo przejmują moją duszę. Gorszym nawet od tych morderców, co ich tnę po karkach, bo oni są chorzy psychicznie, mieli trudne dzieciństwo, nie przystosowali się do cywilizacji industrialnej, a klęski naszych wojsk w Belteguzie dodatkowo wstrząsnęły ich delikatnymi jestestwami. A ja, cóż, na zimno, ciach, ciach, ciach...

Aż się zasapał od tego gadania.

– Po raz kolejny – Sansana była wyraźnie rozdrażniona robisz to po raz kolejny. Nie zaatakowałam cię. A ty się bronisz, odpowiadasz na zarzuty, których ci nie postawiłam.

– Dobrze, już dobrze... – wycofał się („Znowu ustępujesz, stary baranie – kłął w duchu – żywcem cię zje ta baba, a nim zdąży po raz ostatni zamknąć usta, to jeszcze z głębi jej przewodu krzykniesz: Smacznego!”). – Wiesz co, może pójdziemy na spacer? Nad morze? Nie ma chmur, powinniśmy zobaczyć triadę.

– Triadę? Tutaj? – ucieszyła się, natychmiast zapominając o sporze. Za to też ją kochał. – Myślałam, że tylko na północy...

– Na północy częściej, ale bez tego efektu. Spróbuj sobie wyobrazić: morze jest perłowe. Arka spełza już powoli za linię widnokregu, kładąc na falach złocistą smugę, a oba księżyce, niemal równocześnie, wspinają się ponad horyzont. Najpierw szafirowy Tempie, a kilkanaście sekund później jego śladem podąży i Graal – mniejszy, krwistoczerwony. A potem zobaczysz – bo właśnie na archipelagu widać to najlepiej – w momencie, w którym Arka zanurkuje poza kraj świata, księżyce zaczną się rozchodzić...

– Uwielbiam, jak opowiadasz – objęła go, mocno się przytulając.

„Uwielbiam, jak słuchasz” – pomyślał, a powiedział:

– Idę na górę po coś cieplejszego, po zmroku może być chłodno.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy wchodziła po schodach. I wtedy właśnie usłyszał szum silników. Podeszedł do drzwi. Szum narastał i po chwili zza drzew wypłynęła smukła sylwetka śmigła. Damien rozpoznał na burtach znaki jednej z wypożyczalni sprzętu z portu w Barambo. Pojazd zwolnił nieco, skręcił w stronę garażu. Miętko osiadł na ziemi.

Teraz dopiero Damien van Dorn dostrzegł, że człowiek, który zwinnie przeskoczył burtę i stanął obok poduszki, ma twarz zasłoniętą maską.

\* \* \*

Frank McKelly siedział wygodnie w miękkim fotelu. Kaptur wirtuala zakrywał jego twarz, a głośne posapywanie wskazywało, że policjant wykonuje w urojonej rzeczywistości czynność wymagającą wielkiego wysiłku. I rzeczywiście – kapitan McKelly, człowiek – obecnie Oouuouou, płetwal błękitny szarżował na trzeci z rzędu okręt admirała Kolumba (co przeczyło oczywiście wszelkim płetwalowym obyczajom, historii i zdrowemu rozsądkowi – „Ludzkiemu zdrowemu rozsądkowi i wielorybiemu zdrowemu rozsądkowi – zaprzeczyłby McKelly – ale nie wieloryboludzkiemu”). Oczywiście, co chwila wyskakiwał przy tym nad powierzchnię, przelatując dobre pięćdziesiąt metrów i wyrzucając fontanny wody („Nie po to jestem wielorybem, żeby nie móc sobie popluć wodą” – tłumaczył zawsze Damienowi, gdy ten grał jako wielorybnik). Teraz był już dostatecznie blisko statku, by widzieć ludzkie figurki biegnące bezładnie po pokładzie. Próbowali nawet strzelać do niego z dział. Fuknął gniewnie i jeszcze przyśpieszył. W tym właśnie momencie błękitne niebo otworzyło się, a z czarnej dziury wychyłała główka aniołka, o tłustych policzkach i kędzierzawych, złocistych włoskach. Cherubin otworzył usta i tubalnym, zupełnie nie pasującym do swojego wyglądu głosem krzyknął:

– Szefie! Szefie! Mamy kłopoty!

Cały obraz zamarł w bezruchu, a potem błyskawicznie zaczął znikać, osypując się niczym fresk ze ściany starego budynku, odstawiając ekran komunikatora. Na nim pojawiła się twarz Alghora, zastępcy McKelly’ego.

„Co jest? – pomyślał McKelly – Abish?”

„Nie – uspokoił go zaraz Alghor. – Ale coś dziwnego dzieje się na Kapeluszu. Mają kłopoty z siecią. Jakies przerwania, bloki, zawieszenia”.

„Cyberburza? Zdarza się czasem. Ostatnio mieliśmy i u nas coś takiego”.

„No tak. Ale ta nie obejmuje całej wyspy. Jakby specjalnie skierowano ją w tę odnogę sieci, w której stoi pensjonat van Dorna”.

„Co u Abisha?”

„Wciąż gra. Nie wychodził z pokoju. Przez sieć też się z nikim nie kontaktował. Nasi cały czas siedzą na nasłuchu”.

„Kiedy pojawiła się burza?”

„Jakiś kwadrans temu. Pająki twierdzą, że naprawią to w ciągu godziny.”

„Może podesłać im kogoś od nas? Szybciej będzie. To rządowe pająki?”

„Nie, to prywatna gałąź. Nie wpuszczą naszych bez nakazu honorowa sprawa”.

„No dobra, sprawdź jeszcze raz Abisha, a ja już do was jadę”.

„Wyłączam się, szefie” – twarz Alghora zniknęła, w jej miejsce pojawił się wizerunek trzech kopulujących Parksów.

– Kiedyś wam za te żarty nogi z dupy powyrywam – mruknął McKelly, ściągając z głowy hełm. Przyssawki elektrod odlepiły się od skroni z cichym mlaśnięciem.

\* \* \*

To nie była pseudotwarz, tak popularna wśród młodzieży, a zwykła, choć bardzo wiernie imitująca ludzką skórę maska. Mogła zmylić z odległości kilkudziesięciu kroków, z bliska dawała się rozpoznać bez trudu. Van Dorn znał tę twarz. Widział ją każdego dnia – w lustrze.

– Nie słyszałem, abyście mieli taki obyczaj – powoli powiedział Damien. – A wiem o was sporo.

– Tak ci się tylko wydaje, człowieku. – W głosie przybysza dało się słyszeć pogardę i nienawiść.

– Po co ją założyłeś, przecież każdy pozna, że to tylko maska? – Damien analizował sytuację. Nie zdąży uciec, jeśli tam – ten ma broń. A że ją ma, to pewnik. Jak to możliwe, że ludzie McKelly’ego go wypuścili? Jak im się wymknął, przecież cały czas namierzali jego psychoprosesor. A może to nie Abish, tylko jakiś cholerny abolicjonista...

Trzeba grać na zwłokę. Więc – należy rozmawiać.

– Maski zasłaniają często nie to, co wedle wielu powinny ukrywać. Co chowa twoja czarna maska, gdy stajesz na scenie, naprzeciw bezbronnego człowieka, wśród podnieconej gawiedzi. Co wtedy kryje się w twoich myślach, kacie miasta Algahara?

„Wiem, czego próbujesz, człowieku – myślał van Dorn znam to dokładnie. Prowadzimy dyskurs, a ty dążysz do tego, byśmy wymieniali argumenty, posługując się twoimi określeniami. Nic z tego, człowieku. Będziemy rozmawiać moim językiem”.

– Kiedy zajmuję miejsce na Placu Sędziów, by wymierzyć sprawiedliwość zbrodniarzowi w imieniu miasta i w obecności obywateli, nie myślę o niczym, czego nie może wyobrazić sobie zwykły człowiek w takiej chwili. Wspominam ofiary i rozpacz ich bliskich, myślę o ludziach, którzy mogą stać się kolejnymi ofiarami, jeśli nie powstrzymam mordercy.

– To wielce zajmujące – w głosie przybysza pojawiła się drwina – wzruszające...

„Dał się wciągnąć – myśli przebiegały przez głowę Damieną. – Może ludzie McKelly’ego już tu lecą. Jeśli...”

Nagle za swoimi plecami usłyszał ciche skrzypnięcie.

„O Boże, nie!”

Stąpienie bosych stóp po drewnianej podłodze.

„Nie podchodź do drzwi, San!”

Głos:

– Damien, Damien, dzieje się coś dziwnego...

Maska drgnęła, przybysz postąpił krok do przodu. Wsunął rękę do kieszeni kombinezону.

„Zatrzymaj się, San!”

– Damien, włączyłam wideofon, a on nie działa...

„Jak to nie działa, San?” – pomyślał, ale nie odezwał się ani słowem.

– Ani satelita, ani łącza, zad... – jej głos zamarł w pół słowa. Kto to...

– Samuel Abish, szanowna pani, Wdowiec – powiedział przybysz, jednym ruchem ręki ściągając maskę.

– No i jak tam – McKelly wkroczył do biura – burza minęła?

– Nie, szefie – Algor podsunął mu wydruki – ale Abish wciąż jest u siebie.

– Co mówią pająki z Kapelusza?

– Że to awaria. No, a jeśli miałyby to być sabotaż, to ktoś musiałby działać z łączem na wyspie.

– Wspólnik Abisha?

– Nie sądzę, choć pewności nie mamy. Mówili też, że sam człowiek nie byłby potrzebny, wystarczy dobry program penetrujący. Ale to nie zmienia postaci rzeczy – ktoś musiałby go wpuścić w sieć już na wyspie.

– Dobra, co robią nasi?

– Siedzą w porcie. Czekają na rozkazy. W czasie cyberburzy odłączają się autopilotaż, musieliby telepać się do Damiena poduszkiowcem.

– Niech będą przygotowani – powiedział powoli McKelly. Nagle zastygł w bezruchu. Zaciął zęby. – Kurwa żesz mać!

– Co jest, szefie?

– Co powiedziałaś o programie penetrującym?! Szlag by to...! Wydaj rozkazy, niech wchodzą do pokoju Abisha!

– Nie ma podstaw, będą kłopoty...

– Natychmiast! – wrzasnął McKelly. Oczy wszystkich podwładnych zwróciły się w jego stronę. – Niech chłopaki natychmiast ruszają do Damiena! Jeśli mam rację...

Algohor już sprzęgał się z czepkiem informacyjnym, wydawał polecenia. W chwilę potem wielki ścienny ekran ożył. Wszyscy widzieli obraz rejestrowany przez policjantów wbiegających do hotelu, dopadających drzwi pokoju Abisha. W środku nie było nikogo. Tylko na konsoli komputera stało nieduże, sprzężone z nim żyłą czarnego kabla, pudełko. Obok leżała kartka papieru. Jeden z policjantów podniósł ją i przeczytał na głos:

„Złamaliście prawo, panowie, będziecie sądzeni”.

– Durnie, cholerne durnie – jęczał McKelly – ci pieprzeni Wdowcy mają najlepsze procesory osobowości, jak mogliśmy o tym zapomnieć. Nie wiem, jak to zdobył, to podobno u nich zakazane... cały czas namierzaliśmy kopię umysłu tego pieprzonego gnoja. On jest na wyspie.

– Tylko po co mieszał w sieci wyspy? – Algohor zsunął czepiec z głowy. – Gdyby nie to, w ogóle byśmy się nie zorientowali, że go brakuje...

\* \* \*

– Nie chodziło o to, żebym ukrył swoją twarz – Abish mówił spokojnie, jakby nie bał się, że jakakolwiek odsiecz może przybyć – maska jest spreparowana i osłania mój mózg – popukał się w czoło – za dużo tam chipów, łatwo je wykryć i rejestrować.

– Czego chcesz? – Sansana ostro przerwała jego wywód.

– A jak myślisz, samico? – zniknęła łagodność, van Dorn uprzytomnił sobie, że dla Wdowca płci męskiej kobieta może być istotą niższą. Abish opanował się jednak. – Obiecałem, że się spotkamy. Chciałem się zabawić. Także...

– Zemścić się?

– Ileż pogardy w tym głosie, samico. W czymże jestem gorszy od niego? Moje prawo mówić o zemście, tak jak jego. Żądam życia za życie, tak jak on. Tyle, że on ścinał głowę nieznanemu, a ja chcę jego głowy, bo zrobił krzywdę mnie. Kto jest lepszy...

– Odpowiadałeś za morderstwo niewinnych ludzi!

– Winni, niewinni, cóż znaczą te słowa. Zawinili, bo stanęli na mojej drodze. Tak jak ja zawiniłem, bo wkroczyłem na ścieżkę jego życia. Ot i cała prawda o występku...

Usłyszeli szum. Coraz bliższy. Van Dorn zrobił krok ku zejściu z werandy.

– Nie drgnij nawet! – głośno powiedział Abish, a spokojniej dodał – jeszcze nie skończyłem. Sansana jęknęła cicho.

– Dziwicie się pewnie, czemu rozmawiam z wami tak długo – ciągnął Abish nie zważając na zbliżający się szum. Znow trzymał rękę w kieszeni. – To proste...

Policyjny ślizgacz wypadł zza drzew.

Zatrzymał się w odległości dwudziestu metrów od domu. Policjanci zeskoczyli na ziemię.

– Samuelu Abish! – krzyknął jeden z nich. – Jesteś aresztowany, nie stawiaj oporu!

– Nie macie prawa, panowie – powiedział Wdowiec spokojnie. – Nic nie zrobiłem. – Zwrócił się do van Dorna – Widzisz, kacie, jak przypuszczam, włamali się do mojego pokoju,

a teraz chcą mnie zapuszkować. Bez powodu. To kolejny przyczynek do naszej rozmowy o prawie, czyż nie kacie?

– Groziłeś nam...

– Ja, ani przez chwilę. Zresztą, powiem ci kacie coś ważnego. I wy też słuchajcie! – krzyknął odwracając się w stronę policjantów. – Ja, Samuel Abish, Wdowiec, wybaczam Damienowi van Dorn. Taką to ofiarę złożyłem w świątyni, dziękując za błogosławieństwo ponownego odrodzenia.

– Więc po co... to wszystko... – wyszeptał van Dorn. Policjanci także przestali podchodzić bliżej. Najwyraźniej konsultowali się z centralą.

– Dla zabawy, kacie, i dla rozmowy... – Abish uśmiechnął się, a potem zaczął nakładać maskę. – Może kiedyś do niej wrócimy...

– Nie! – głos Sansany był ostry i zdecydowany. Brzmiał groźnie. Van Dorn odwrócił się w jej stronę. Dziewczyna stała sztywno wyprostowana, a na jej twarzy rysował się grymas gniewu, strachu i pewności. W dłoni trzymała podłużny, obły przedmiot.

– Zatrzymajcie ją! – w jednej chwili spokój zniknął z głosu Abisha. – Błagam!

Van Dorn skoczył w stronę dziewczyny, ale nie zdążył.

Huknął strzał, ciałem Wdowca targnęło, plama krwi wykwitła na jego piersi. Stał chwilę, w jednej dłoni ściskając maskę, drugą jakby zasłaniając twarz.

– Dlaczego, samico? – wychrypiał. – Dlaczego mnie wymazałaś...

– Nie ufamy ci, Samuelu Abish – powiedziała spokojnie, choć w jej głosie tętniła jeszcze zamierająca emocja. – Poza tym to ekscytujące.

### 3.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Sansana użyła specjalnej broni – nie tylko zastrzeliła Abisha, wymazała także jego procesor osobowości. Dla Wdowca oznaczało to śmierć. Zabiła bezbronnego człowieka – wyrok mógł być tylko jeden.

Nie chciała się z Damienem widzieć ani rozmawiać. Na procesie unikała kontaktów, nie opowiadała na listy.

Sprawa morderstwa, w które zamieszany był kat, wywołała wielkie poruszenie opinii publicznej. Żeby zamknąć usta przeciwnikom, rada Cechu wyznaczyła do egzekucji Damiena van Dorna. Nie uchylił się, choć mógł.

Nie rozumiał postępowania Sansany, bolało go milczenie, przerażała perspektywa egzekucji – przecież wciąż ją kochał. I pragnął dać jej to, co ofiarować potrafił najlepiej. Śmierć.

\* \* \*

Kobieta, którą kochał, klęczała z policzkiem przyciśniętym do czarnego pieńka. Oczy miała otwarte i uśmiechała się.

Kiedy unosił miecz, kiedy czuł ruch idealnie wyważonego żelźca, w jego głowie huczały pytania, które kiedyś zadawała: „Co czuje twoja ofiara, Damien?”, „Ściąć kogoś bliskiego, nie sądzisz, że to ekscytujące, Damien?”, „Czy chciałbyś kochać się z kimś, kogo potem zetniesz?”, „A z kimś, kto ściąłby ciebie, Damien?” Damien... Damien. Damien!

– Kocham cię, kacie. I wrócę do ciebie – powiedziała szybko dziewczyna, a on zadrżał.

Miecz opadł – głowa potoczyła się po podeście. I wtedy Damien van Dorn zrozumiał, że dziś wieczorem podejdzie do niego rządowy informatyk Olgierd REM. W tajemnicy poinform-



muje o tym, że na Arkę przybędą wkrótce przedstawiciele jednego z toforiańskich Domów, aby odebrać ciało swej siostry. Tak będzie...

Ilu rzeczy nie wiedział – czy zabiła, by go ochronić; czy była wysłanniczką Domu, mającą kontrolować poczynania Abisha; czy tylko szukała mocnych wrażeń? Jednego był pewien – zaczynają się trzy lata najdłuższego oczekiwania w jego życiu.

Głowa Sansany zatrzymała się. Oczy dziewczyny były zamknięte, co według katów z Taras-  
kat oznaczało przyszłe szczęście.